Kraków, 9-go lutego 1918 r.

Rok 9. Nr. 3.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 6.

Nauczyciele sieroty.

Napisał Józef Ignacy Kraszewski.

(Ciąg dalszy).

— A to czemu, kiedy tam żyć będzie łatwiej?

— Zaraz ci powiem, co mi stary opalony wróbel, który z miasta przyleciał tu, mówił i dlaczego ja tam się nie umieściłem... Tam w miasteczku życie łatwiejsze, ale i niebezpieczeństwo większe... Gniazda usłać niema gdzie, czycha mnóstwo swawolnych chłopców, wróbel się oducza od pracy, bo mu o jadło łatwo...

— A cóż to jest praca? — zapytał chłopak.

— Praca to jest prawo Tego, co wróbla stworzył i człowieka, wszelkiemu stworzeniu dane.

— A dlaczegóż ja o niem nie wiem?

— Boś jeszcze mały...

— Naucz-że mnie, co to jest praca?

Wróbel samouczek począł główką kiwać, musnął dzióbkiem parę razy po skrzydłach i zdawał się namyślać.

— Jak to tobie powiedzieć? — mruczał — jak to tobie powiedzieć?... Wszystko pracuje na świecie... praca to życie, mój mały; potrzeba coś robić, aby żyć, aby się czegoś nauczyć, aby do czegoś dojść, a im więcej kto pracuje, tem mu jest lepiej...

— Praca to więc znaczy robota — rzekł chłopiec. — Ale robota męczy.

— Jeszcze też gorzej męczy próżnowanie — mówił wróbel.

— Zresztą co ja będę robił — spytał sierota — kiedy ja nic nie umiem?

— A patrzałeś ty na mnie? — odpowiedział ptaszek.

— O! i długo i uważnie: nosiłeś kruszynki i kąpałeś się w piasku.

— No! a gdybyś ty czego nazbierał i poniósł, możeby znalazł się kto, coby tego potrzebował i dał by ci chleba kawałek... ten chleb byłby już nie wyżebrany, ale zarobiony, byłby twój własny.

Chłopiec się zadumał i zdawało mu się, że jak na wróbla takiego szarego, niepozornego, ptaszek był bardzo mądry... jakoś mu się to nienaturalnem widziało. — Wtem coś zaszeleściło ponad drzewem — wróbel się schował co najprędzej, a chłopak zobaczył tylko małego jastrzębia, który krążył, rozłożywszy skrzydła i zdawał się czegoś upatrywać pod sobą.

Nagle padł jak kula i zatrzepotał się żywo. Dzieciak pobiegł przez ciekawość, spłoszył ptaka i zobaczył pokrwawione ptaszę, które w bruździe konało...

Żal mu się go zrobiło.

Jeszcze nad niem stał, gdy głośny strzał się rozległ w powietrzu i jastrząb padł na ziemię.

Obejrzał się z przestrachem i dostrzegł człowieka licho odzianego, z którego strzelby jeszcze resztka dymu wylatywała.

Człowiek miał wyraz dziki i ponury, na ustach jego krążył uśmiech boleści, a chłopakowi zdawało się, że usłyszał z nich wychodzące wyrazy:

— Dobrze ci tak, a poco wróble dusisz.

Ciekawy, co się z jastrzębiem stało, pobiegł chłopak na pole, gdzie go widział upadającym. Na brzegu roweczka leżał jastrząb raniony, krew z niego ciekła, ale gdy się chłopiec zbliżył do niego, dziób nastawił, szpony podniósł i zabierał się bronić. Nie wiedział jak do niego przystąpić, gdy przypadkiem rzuciwszy okiem na człowieka, który wystrzelił, rzecz zobaczył nową. Mężczyzna barczysty schwycił za kark strzelca, trzymał go za kołnierz jedną, a drugą wyrywał mu broń; niedawno bezpieczny i śmiejący się człowiek był blady i przerażony. Sierota już nie myślał

o konającym jastrzębiu, ani o ranionym wróblu, cały się zwrócił ku ludziom, ale ci szamocąc się, z oczów znikli za lasem.

Tak wiele jakoś rzeczy nowych dla niego odbiło się o jego oczy i uszy, że sierota przysiadł na ziemi, aby to wszystko rozważyć i zrozumieć. W polu było cicho, kilka chmur przebiegało po niebie, przysłaniając słońce, które dopiekało. Rozbierając wszystko, co mu się przytrafiło, sierota naprzód zapamiętał wróbla naukę, że pracować potrzeba; potem z historyi jatrzębia i ludzi wyciągał sobie ten pewnik, że wiele jest i złych ptaków i niedobrych istot na ziemi, których się wystrzegać potrzeba. Położenie jego wydawało mu się strasznem, ale obawiać się i płakać na nic się zdało. Obaczył znowu wróbla, który wyleciał z gniazda, nosił słomki i w piasku się trzepotał.

— Czy ci nie strach? — zapytał.

— A co pomoże, gdybym się lękał? — wesoło odfurknął wróbel — swoje robić potrzeba, a o biedzie nie myśleć, boć się od niej nie wykręci, przysiadłszy cicho w gnieździe. Jużcić kiedyś, jastrząb mnie zje, albo człowiek zastrzeli, albo wielka sowa zadzióbie śpiącego w nocy, ale nim do tego przyjdzie, śpiewam i pracuję.

— Jaki mądry wróbel! — westchnął chłopak zazdroszcząc mu — taki mały, niepozorny, a taki rozumny, trzeba go słuchać.

Wstał tedy i szedł, gdy na gałęzi zobaczył siedzącego bardzo ładnego ptaka z czubkiem, dużego wzrostu, który piórka muskał. Wszedłszy już w znajomość z ptakami, miał sobie za obowiązek i temu się pokłonić, ale ptaszę nie wiele na niego zważało; pomiarkował, że to być musiał jakiś znakomity jegomość, kiedy był taki niegrzeczny.

Stanął jednak naprzeciw niego, aby mu się dobrze przypatrzeć, a że wiatr powiewał od gałęzi ku niemu, poczuł zapach niebardzo miły, który zdawał się pochodzić od ptaka. Był to śmierdzący dudek, ale wydawał się pański, z czubem na głowie i strasznie miał minę dumną.

— Dzień dobry jegomości — rzekł chłopak.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BÓG.

Chodź, dziecię pójdziemy w pole rozmawiać o dziełach Boskich.

Weź garść piasku, policz ziarnka, spuszczaj je po jednemu na kolana.

Sprobuj zliczyć trawy tej łąki, albo liście tego drzewa; nie możesz ich zrachować — są niezliczone.

Trudniejsze jeszcze do zliczenia inne dzieła Boże.

Czarna jodła rośnie na wysokich górach, a jasna wierzba zwiesza gałęzie nad wodą.

Chmiel zarzuca długie swe gałązki wkoło wysokiej tyki; dąb zapuszcza w głębi ziemi twarde swe korzenie, walczy z burzą.

Każdy listek ma kształt inny, na każdej roślinie inny owad mieszka.

Patrz na to ciernie ubielone kwiatami, patrz na te zioła, które depcesz; nie uprawiał ich człowiek, ani ręka jego te ziarno posiała.

Jedne rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne jeszcze w głębi lasów lub na bezludnych wyspach,

Ale któżto wszędzie życie im daje?... Kto ich nasiona wichrom powierza?... Kto je przysypuje ziemią, kto dżdżem i rosą orzeźwia? Kto je słodkim wiatru powiewem ochładza, kto wonią i barwą bogaci?...

Jakim sposobem z czarnego łona ziemi róża swój szkarłat, lilia białość wyciąga? Jakim sposobem małe ziarnko duży krzak w sobie zamknąć może? Skąd zna każda roślina porę sobie właściwą? Wszystkie rozłożone są porządkiem, każda wie swoją godzinę i wstaje z kolei. Stokrotki i fiołki najbardziej się śpieszą; skoro wiosna nadejdzie, wychodzą z ziemi i jakby mówiły: jesteśmy! Gwoździk wygląda większego ciepła, astry jesieni czekają. Któżto w roślinach przechowuje życie podczas zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia skostnieje? Drzewa wtedy są ogołocone, smutne i suche jak kości na cmentarzu. Kto w nie nowe tchnie życie? czyje tchnienie konary liściem i kwiatem odziewa?

O! dziecię moje, wszystko to jest dziełem Boga — Stwórcy naszego, przedwiecznego.

Ale czyż potrzeba tobie mówić o Bogu, kiedy wszystko o Nim przemawia?

Każda łąka jest jakby księgą otwartą; na każdym kwiatku wyryta o Nim nauka.

Każdy strumyk, każdy wiatru powiew ma swoją mowę. Wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył, wszystko dobroć Jego głosi.

Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny, ale możemy przypatrzeć się Jemu w dziełach Jego i w nich Go uwielbiać.

Cześć Panu.

Niech się głos do Boga wznosi,
On Ojcem, my dzieci,
On nam deszczem ziemię rosi,
On nam słońcem świeci.

On nam liściem zdobi drzewa,
On kwiateczki sieje,
On morzem lądy oblewa,
W źródła wodę leje.

On gwiazdami niebo złoci,
Zsyła chłód śród cieni,
Z Jego-to, z Jego dobroci,
Owoc się rumieni.

Śliczne zboże z Jego ręki,
Z kłosami pełnemi,
O! złóżmy Mu, złóżmy dzięki
Sercami wdzięcznemi.

Wkoło wszystko się uśmiecha,
Zorza ogniem pała,
W sercu rodzi się uciecha:
Chwałaż Panu, chwała!

Patrzcie, patrzcie na obłoki,
    Co za malowanie!
Światła leją się potoki:
    Jakżeś wielki, Panie!

Każdy z czuciem, z podziwieniem
    Pada na kolana;
Wdzięczne serca, tkliwem pieniem
    Uwielbiajcież Pana!

ZŁE SERCE.

— Kto to był ten człowiek, Stasiu, za którym biegłeś z takim krzykiem? — zapytał ojciec swego kilkoletniego synka.

— To był głupi Walek, którego tatuś zna — brzmiała odpowiedź.

— Biedak! Skąd takie nieszczęście spadło na niego! — zauważył ojciec.

— Tomek powiadał, że głupi Walek procesował się o jakiś duży majątek, ale sprawę przegrał. Od tego czasu podobno pomieszało mu się w głowie.

— Gdybyś go był znał wtenczas, kiedy stracił majątek i gdyby przyszedł do ciebie i powiedział: „Kochany Stasiu, jestem nieszczęśliwy, straciłem wszystko przez proces sądowy, nie mam już chaty ani kawałka roli“ — czy byłbyś wtedy śmiał się z niego?

— O! nie, kochany tatusiu! Byłbym starał się pocieszyć go.

— A widzisz, mój synu — zauważył ojciec. — Czy sądzisz, że teraz, kiedy stracił rozum, jest może szczęśliwszym, niż wówczas? A jednak obrażasz go wyśmiewając się, nawet kamykami rzucałeś na niego. Bardzo mię to martwi, mój chłopcze, bo zdradza złe serce, albo też pustą bezmyślną.

Staś zawstydził się bardzo, przeprosił ojca i odtąd nie tylko sam się nie naśmiewał z biednego obłąkanego, ale

upominał także inne dzieci, aby nie zaczepiały nieszczęśliwego Walka.

Kto jest nieszczęśliwy, ten ma prawo do naszej litości, i niegodziwe to dzieci, które szydzą z cudzej niedoli.

Jak to było z królikami.

Na ściernisku zamieszkały
    Dwa króliki małe.
Jeden z nich był w czarne łatki
    Drugi w łatki białe.
Norki mieli tuż przy sobie —
    Stąd znajomość bliska.
Często z sobą rozmawiali
    Na powierzchni rżyska.
— Ach, jak słońce strasznie pali
    Aż mnie boli głowa.
Trzeba wejść do norki, czekać
    Gdy się za las schowa.
— Ech, pod ziemią ciągle siedzieć!
    Lepiej, mój króliku,
Kupmy sobie na jarmaku
    Po kapelusiku.
— Zgoda, kupmy! I nazajutrz
    Dwaj sąsiedzi mali,
Już nie bojąc się słoneczka,
    Zgodnie rozmawiali.
Wtem, ach, co to? Pies się zbliża;
    — Zjeść nas gotów jeszcze!
— Co tu robić? Jak się schronić?
    Aż mną trzęsą dreszcze!
— Trzeba się do norki schować!
    I myk-myk!... Króliki
Już pod ziemią są — na ziemi
    Ich kapelusiki.
Pan pies poszedł. Co to? gdzie są?
    Widziałem ich przecie.

Jeszcze mi się ichmościowie
Tutaj ukażecie!
Usiadł pies na czatach, czeka,
A malcy tymczasem
Myk-myk-myk! przez inny otwór
I już są pod lasem.

SZKOŁA.

Mały Karolek przyszedł pierwszy raz do szkoły. Pokój, w którym mieściła się szkoła, był obszerny i jasny. Stały tu ławki, ustawione w dwa rzędy. Na środku stała tablica, a obok katedra nauczyciela. Na ścianach wisiały mapy i tablice z różnymi namalowanymi przedmiotami. W szkole było już wielu uczniów. Przyglądali się oni Karolkowi, uśmiechali się i coś do siebie szeptali. Karolek był nieśmiały, więc się zasmucił.

Rozległ się dzwonek. Dzieci pobiegły na swoje miejsca. Wszedł nauczyciel. Dzieci wstały. Nauczyciel spostrzegł smutną minę Karolka, zawołał najstarszego ucznia i powiedział:

— Jasiu, oto wasz nowy kolega, najmłodszy pomiędzy wami, bądźcie mu przyjaciółmi!

Jaś podał rękę Karolkowi i wszyscy zrobili to samo. Karolek był im bardzo wdzięczny. Zaczęła się lekcya: jeden z uczniów zmówił modlitwę. Nauczyciel siedział na katedrze i słuchał uczniów lekcyi. Uczniowie wydawali lekcye, pokazywali swoje zeszyty i wracali do ławek. Nauczyciel jednych chwalił za pilność, drugich za porządek, a niektórych ganił za lenistwo. Po skończonej lekcyi uczniowie zmówili modlitwę i udali się do swoich domów.

